



# KARTEZJUSZ

ROZPRAWA O METODZIE

W ofercie Domu Wydawniczego Kontinuum dostępne są m.in. następujące e-booki:

- *Erystyka, czyli sztuka prowadzenia sporów* - Arthur Schopenhauer
- *To, co widzialne i to, czego nie widać* - Frédéric Bastiat
- *Sztuka wojny. Najstarszy traktat wojenny na świecie* - Sun Tzu
- *Benjamin Franklin. Autobiografia* - Benjamin Franklin
- *Henry Ford. Moje życie i dzieło* - Henry Ford
- *Wspomnienia z mego życia* - Werner Siemens

**Rozprawa o metodzie.**

**Sztuka dobrego powodowania swoim rozumem i  
szukania prawdy w naukach**

**Autor: Kartezjusz**

**Tłumaczenie: Tadeusz Boy-Żeleński**

**Redakcja wtórna i uwspółcześnienie przekładu: Łucjan  
Andruszkiewicz**

## OD WYDAWCY

Zapraszamy do lektury jednego z najważniejszych dzieł zachodniej filozofii, które wywarło ogromny wpływ na rozwój nowoczesnej nauki. René Descartes zaprezentował w nim swoją teorię poznania skupiającą się na dążeniu do pewności w dochodzeniu do prawdy.

To właśnie w tej publikacji padły słynne słowa „cogito ergo sum”, które znane będą ludzkości tak długo, jak będzie istniał nasz gatunek. Zresztą są one tak uniwersalne, że mogą się odnosić do każdej myślącej istoty. Kto wie, być może kiedyś zostaną wypowiedziane przez sztuczną inteligencję?

Jak zauważa Kartezjusz w prezentowanym dziele:

„Ponieważ zmysły nasze zwodzą nas niekiedy, przyjąłem, że żadna rzecz nie jest taka, jak one nam to przedstawiają. Ponieważ istnieją ludzie, którzy się myślą w rozumowaniu nawet odnośnie do najprostszych przedmiotów geometrii i wpadają w mylne wnioski, pomyślałem, iż ja jestem podległy błędom równie jak każdy inny i odrzuciłem jako fałszywe wszystkie racje, które przyjąłem niegdyś jako dowiedzione. Wreszcie, uważając, że wszystkie te same myśli, jakie mamy na jawie, mogą nam przychodzić wtedy, kiedy śpimy, a wówczas żadna z nich nie jest prawdziwa, postanowiłem przyjąć, iż wszystkie rzeczy, jakie weszły w mój umysł, nie bardziej są prawdziwe niżli złudzenia senne. Ale równocześnie zastanowiłem się, iż podczas gdy silę się przypuścić, że wszystko jest fałszywe, trzebaż, abym ja, który to myślę, był czymś; i zważając, iż ta prawda: »myślę, więc jestem« (cogito ergo sum), jest tak pewna i niezłomna, że wszystkie najskrajniejsze przypuszczenia sceptyków nie są zdolne jej obalić, osądziłem, iż mogę ją przyjąć bez skrupułu za pierwszą zasadę filozofii, której szukałem”.

Kartezjusza cenili wybitni naukowcy i myśliciele różnych epok. Einstein podziwiał go za sposób, w jaki zbliżał się do problemów filozoficznych. Autor teorii względności podkreślał, że metoda Kartezjusza, polegająca na krytycznym myśleniu i logicznej analizie, jest ważna nie tylko w filozofii, ale także w naukach eksperymentalnych. Według niego wszystkie dziedziny wiedzy powinny ją stosować, aby osiągnąć jak największą pewność w poznaniu rzeczywistości.

Wysoko cenił osiągnięcia francuskiego filozofa również Stephen Hawking, który w Krótkiej historii czasu napisał, że René Descartes był jednym z pierwszych naukowców, którzy postanowili stosować matematykę do opisu zjawisk przyrodniczych. Hawking zwracał także uwagę na fakt, że Kartezjusz miał wielki wpływ na rozwój geometrii analitycznej, co z kolei umożliwiło rozwój matematycznych teorii naukowych.

To tylko drobna część pochlebnych opinii na temat francuskiego filozofa. Z dumą prezentujemy jego pełne szczerych poszukiwań dzieło czytelnikom.

Oryginalny przekład Tadeusza Boya-Żeleńskiego poddaliśmy minimalnej korekcie, współczesniając słowa takie jak m.in. „snadź”, „tedy”, „jeno” czy „łacno”. Z uwagi na szacunek dla pracy wybitnego tłumacza, w przeważającej mierze utrzymaliśmy jednak tekst w jego pierwotnym brzmieniu.

Życzymy owocnej lektury, obfitującej w cenne refleksje!

Dom Wydawniczy Kontinuum

## **OD TŁUMACZA, CZYLI FRAGMENTY ORYGINALNEJ PRZEDMOWY TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO, POWSTAŁEJ W 1918 ROKU**

Nie zapomnę tego wrażenia... Było to rok temu, w lecie, z początkiem czwartego roku wojny. Siedziałem w mojej izdebce dyżurnego lekarza wojskowej stacji opatrunkowej, i korzystając z chwilowej beczynności, pracowałem nad pierwszymi rozdziałami tej książki. Tuż prawie pod oknami ochoczo rznąła orkiestra, odprowadzając kilka *marszkompanii*, jadących, w ślicznych nowych butach, na „włoski front”. Na fali trywialnej melodii, myśl Descartes'a pędziła wartko, skocznie, radośnie, tak iż ledwo piórem mogłem jej nadążyć. Doznawałem szczególnego uczucia. Nigdy nie mam zbyt mocnego przeświadczenia o rzeczywistości zewnętrznego świata — w tej chwili miałem go mniej niż kiedykolwiek...

Puszczam w świat tę książeczkę, opatrując ją sensacyjną opaską „Tylko dla dorosłych”. Na interpelację w tym kierunku mógłbym odpowiedzieć, iż istotnie, książka ta nadaje się tylko dla dorosłych, ponieważ dla młodzieży jest zbyt poważna; ale wolę wyznać szczerze, iż za pomocą tego niewinnego podstępu pragnąłem wyzyskać moją reputację „gorszącego” pisarza, i, w niezawodnym sposobie, skłonić publiczność do przeczytania tego dziełka, skazanego, w zwyczajnych warunkach, na pleśnienie na półkach nielicznych bibliotek naukowych. Dla wielu zaś powodów życzylibym gorąco, aby Rozprawa o Metodzie znalazła się w rękach wszystkich tych, którzy dotychczas chętnym udziałem swoim jako czytelnicy wspomagali moją pracę.

Mam wrażenie, iż w sądach o piśmiennictwie francuskim jak również i o duchu francuskiej rasy panuje wśród ogółu wiele przesądów i uprzedzeń. Bieżąca książka francuska, ta, która w charakterystycznej żółtej okładce znajduje się we wszystkich rękach, zawdzięcza powodzenie przede wszystkim temu, iż krąży jako książka „lekka”; oto zwyczajne godło, które jest do niej przyczepione. Tych czytelników, którzy zechcieli głębiej wnikać w kulturę galijską przez obcowanie z najwyborniejszymi jej

duchami, również, przy czytaniu Kubusia Fatalisty, Listów perskich, a nawet nieraz i Prób Montaigne'a musi uderzać lekkość tonu, o wiele nieraz przekraczająca granice, jakie zwykła zakreślać etykieta „poważnego” myślenia. Stąd wynika, iż ten swoisty wdzięk literatury francuskiej bywa poczytywany jej za ujmę i ściągą na nią zarzut *powierzchowości* lub *blagi*; toż samo dzieje się i z naukowym piśmiennictwem francuskim, któremu wiele osób, wychowanych na innym stylu, poczytuje żywość i barwność formy za niedostatek „ścisłości”. Nie tak mniemano o duchu francuskim w owych świetnych epokach polskiego życia umysłowego, w których zwracano w tamtą stronę wzrok chciwy światła i wiedzy; ale przyszły potem długie dziesiątki lat innych, obcych wpływów, przez które to lata sączo w nas bardzo mylne i nie odpowiadające naturze naszej pojęcia o „powadze” i „głębi” naukowej.

Wyobraźmy sobie dwóch siłaczy zonglujących ciężarami. Któryż będzie mistrzem w swojej sztuce; czy ten, który, po mnóstwie wstępów i przygotowań, dźwiga swój ciężar, pocąc się i sapiąc, tak że zdajemy sobie sprawę z całej jego wagi i z całej sumy włożonej w to pracy, czy ten, który, z doskonałą swobodą ruchów, z żartobliwym uśmiechem, przerzuca z ręki do ręki stufuntowe kule, tak jakby to były ciężarki z tektury? Lekkość i wdzięk jest niezawodnym przejawem pewności, precyzji i siły; ale patrząc na nie, zapominamy znowuż zbyt łatwo, ile pod tą swobodą — obok wrodzonego daru — kryje się pokonanego trudu, ile metody i wytężonego systematycznego ćwiczenia. Pokazać ducha francuskiego, tego niezrównanego zonglera pojęć i idei, przy warsztacie olbrzymiej pracy myślowej, w jakiej przez kilka wieków przodował i dawał pobudkę całej Europie, jest celem, dla którego ogłaszam niniejszą książeczkę. Jest ona prawie że konieczna dla istotnego, szerszego zrozumienia całości literatury francuskiej aż do jej najbardziej specyficznych rozgałęzień. Nie mam wcale ochoty robić paradoksów, nie leży to bynajmniej w moim usposobieniu, ale całkiem szczerze wyznaję, iż pomiędzy piosenką *Chat-noiru* a Rozprawą o metodzie istnieje dla mnie bardzo ścisły związek organiczny.

Przy tym, rzecz osobliwa, zabawna, ale którą trzeba mimo to powiedzieć! W epoce, w której żył i działał René Descartes, świat naukowy stanowił jeszcze odrębną „Republikę”, powleczonej kosmopolitycznym pokostem latynizmu. Dziwną igraszką trafu, nazwisko uczonego przeszło poza

granice Francji wyłącznie w łacińskiej formie Kartezjusza, a tym samym „odnarodowiło” go poniekąd; tak, iż śmiało pozwolił sobie twierdzić, że nawet wśród oświeconej publiczności wymawiającej na wiarę podręczników z respektem imię tego, który wyrzekł słynne cogito ergo sum, mało kto zastanawiał się, do jakiej właściwie narodowości należał ów mityczny „Kartezjusz”. Tak, mało kto z ogółu wie, że ten geniusz, którego twórcza myśl stała się podwaliną zarówno nowożytnej nauki jak i filozofii, był z krwi i kości Francuzem, urodzonym w tej samej ziemi tureńskiej, która wydała Rabelais'go i Honoriusza Balzaka.

Był Francuzem, i swoją Rozprawę o Metodzie, stanowiącą epokę w dziejach myśli ludzkiej, napisał, wbrew zwyczajom ówczesnego świata naukowego, w mowie ojczystej, umyślnie, jak mówi, aby się mogła znaleźć w rękach wszystkich. Znamienną dla kultury francuskiej — od Montaigne'a aż po najnowsze czasy — jest ta dążność do kruszenia barier dzielących „fachową” mądrość od świata profanów. I język, jakim ta książka przemawia, jest językiem zdolnym trafić do uszu każdego myślącego człowieka. Dziwne wzruszenie ogarnia, kiedy się czyta pierwsze rozdziały Rozprawy, tę poufałą, koleżeńską niemal spowiedź, w jakiej Descartes dzieli się z nami historią wędrówki swego ducha. Nigdy chyba skromniejsze słowa nie zawierały bardziej olbrzymiego procesu duchowego. Mimo woli ciśnie się na usta początek wielkiego monologu Fausta:

„W żądzy wiedzy poznałem wszechnauk dziedzinę, zgłębiłem filozofię, prawo, medycynę, niestety, teologię też! — cóż? — pozostałem mizernym głupcem!”

Wstaje przed nami ów legendarny mędrzec obleczony w ciało... Tylko — w prostej, spokojnej opowieści Descartes'a nie znaleźlibyśmy ani jednego słowa gorczy i zwątpienia; tylko, kiedy znalazł się na tej zawrotnej przełęczy, był nie podeszłym starcem, ale genialnym dwudziestoparoletnim chłopcem, i zamiast przy dźwiękach muzyki Gounoda sprzedawać diabłu duszę za spódnicę Małgorzatki, skupił



wszystkie ludzkie siły, aby wydać walkę Duchowi ciemności, i walkę tę — o ile to w ogóle w mocy człowieka — wygrał. Tryumfalny, wspaniały rozwój nauki nowoczesnej, idący, od trzech wieków blisko, ściśle po linii, jaką wytyczył jej Descartes, świadczy dostatecznie, iż metoda jego była trafna i że dopóki ludzkość będzie się posuwać po drodze poznania, dopóty zasady jej będą obowiązywać. Nie stworzył on oczywiście podwalin nauki nowoczesnej sam; przed nim i równocześnie z nim było dość w tej mierze wybitnych usiłowań; ale Descartes był niby soczewką, która zebrała wszystkie te promienie, aby, zwielokrotnione potężną świadomością i samowiedzą, rzucić snopem światła w przyszłe wieki. Dużo szafowało się u nas w ostatnich latach terminem „prometeizmu”; otóż, jeżeli do czyjego życia i czynu nadawałby się przymiotnik prometejski, to z pewnością do Renégo Descartes.

Dzieje życia mieszczą się całkowicie w dziejach jego myśli. Urodził się w La Haye w Turenii, w r. 1596 a jego ojciec był rajcą parlamentu. Pierwsze nauki odbył w kolegium jezuitów w La Flèche; w młodych latach zdradzał zamiłowanie do poezji, które zachował i później. W 17 roku dostaje się do Paryża, gdzie prowadzi życie dość rozproszone: zwłaszcza hołduje grze, w której — podobnie jak Pascal — rychło ogarnia wszystkie tajniki i kombinacje. Naraz na nowo opanowany żądzą nauki, ginie z oczu towarzyszom zabaw, którzy szukają go po zakątkach Paryża, podczas gdy on studiuje prawo w Poitiers. W rok później — ma wówczas lat 21 — porzuca książki i postanawia czytać jedynie w „wielkiej księdze życia”; w tym celu, zaciąga się jako ochotnik do wojska w Holandii, pod księciem Maurycym Nassauskim. Bawiąc w Bredzie, Descartes widzi na ulicy tłum ludzi gromadzący się przed wielkim afiszem wypisanym w języku flamandzkim i prosi sąsiada o wytłumaczenie. Był to osobliwie zawły problem geometrii oraz wezwanie do rozwiązania go. Nagabnięty przechodzień, którym był przypadkowo uczony matematyk, rektor kolegium w Dordrecht, przełożył mu treść afisza, zachęcając żartobliwie do rozwiązania. Ku wielkiemu jego zdumieniu, młodzik przyniósł nazajutrz żadaną solucję.

Po upływie dwóch lat, René opuszcza Holandię i udaje się do Niemiec, gdzie bierze udział w pierwszych utarczkach wojny trzydziestoletniej. Z początkiem r. 1619, zima zatrzymuje go na granicy Bawarii w Neuburgu

(przełomowy ten moment życia opisuje Descartes w drugiej części Rozprawy o metodzie). Tutaj, zamknięty w swojej izdebce, odkrywa, przez zastosowanie algebry do geometrii, zasady matematyki powszechnej, w której, w upojeniu entuzjazmu, widzi klucz do rozwiązania wszystkich sekretów przyrody. Kilka lat jeszcze ciągnie Descartes żołnierską włóczęgę, wciąż nieprzerwanie prowadząc swoje dociekania matematyczne i szukając zbliżenia z wybitnymi uczonymi epoki; rzuciwszy armię, kilka lat znowuż spędza na podróżach, przebiega Włochy, Szwajcarię, gdzie, u stóp Mont-Cenis, czyni swoje obserwacje meteorologiczne. Wreszcie, postanawia w zupełności poświęcić się filozofii, „aby (jak mówi), o ile to w jego mocy, przyczynić się do dobra bliźnich”. W tym celu, uchodząc od paryskiego zgiełku, osiedla się w Holandii, uważając, iż pobyt w tym kraju daje największą swobodę myślom i dociekaniom, zapewniając równocześnie potrzebne dla pracy naukowej dogodności. Tutaj spędza 20 lat na nieprzerwanych badaniach, w których przeważnie zajmuje się matematyką i zjawiskami przyrody; jednakże wśród naukowych doświadczeń wciąż przyświeca mu dążenie do syntezy ogarniającej cały wszechświat. W ciągu tych lat ogłasza Próby filozoficzne (1637), które zawierają Rozprawę o Metodzie, a obok niej Geometrię, Rozprawę o meteorach i Dioptrykę; układa słynny Traktat o świecie, który niszczy jednakże na wieść o skazaniu Galileusza; wreszcie Traktat o namiętnościach duszy.

Jednakże, mimo całej ostrożności filozofa, i szacunku, z jakim odnosił się do spraw wiary, działalność jego zaczęła niepokoić teologów; jedynie interwencja ambasadora Francji uchroniła Descartes'a od procesu o ateizm i spalenia jego dzieł ręką kata. To był jeden z powodów, dla których Descartes uległ prośbom i namowom entuzjastycznej swojej wielbicielki, królowej Krystyny szwedzkiej, i przeniósł się do Sztokholmu, gdzie codziennie o godzinie piątej rano (o Boże!) komentował, wobec zebranego dworu, problemy filozoficzne. Jednakże klimat północny okazał się zabójczy dla wątłego organizmu; Descartes umiera na zapalenie płuc 11 lutego 1650.

W czasie kiedy żył i działał Descartes, nauka i filozofia scholastyczna, ta sama, z której drwił sobie nielitościwie już stary Rabelais, a z której uśmiechał się pod wąsem Montaigne, panowała jeszcze w całej pełni. Mimo istnienia takich wielkich prekursorów jak Kopernik, Leonardo da

Vinci, Galileusz, urzędowa nauka tkwiła jeszcze we „właściwościach” ciał i klasyfikacjach Arystotelesa, w „celowości”, rozumowała dogmatycznie o wszystkim w próżni, nie odczuwając potrzeby otworzenia oczu na to, co jest, na żywy świat przyrody i mechanikę jego zjawisk. Dobrze ustawiony sylogizm był pierwszym i ostatnim argumentem mądrości. Geometria i arytmetyka, mimo iż czyniły znaczne postępy, stanowiły zamkniętą w sobie specjalność i jakby wysoką zabawę intelektualną; uczeni przesyłali sobie z jednego końca Europy w drugi problemy do rozwiązania niby zagadnienia szachowe, czerpiąc chlubę w pokonaniu spiętrzonych trudności, nie przeczuwając jednak ścisłych związków tych problemów ze światem zjawisk będącym niejako ich obiektywizacją. Wreszcie, teologia gniotła wszystko swoją żelazną obręczą.

Przyszedł Descartes. Jednym uderzeniem pięści zwałił cały ten spróchniały gmach autorytetu i sylogizmów, i uczyniwszy tabula rasa, począł budować sam od nowa. Rozwinął i udoskonalił *algebrę*, zespolił ją z *geometrią*, tworząc w ten sposób geometrię analityczną; z niej wywiódł prawa *mechaniki* i *fizyki*, stosując je następnie do szeregu zjawisk i kontrolując doświadczeniem. Przenosząc te same prawa mechaniki na żywe ustroje, rzucił podwaliny *fizjologii*; z niej, sięgając z kolei w wyższe rejony funkcji człowieka, dał, w Traktacie o namiętnościach duszy, zasady *psychologii*; wreszcie, jako kopułę gmachu, rozpiął gwiaździste sklepienie swojej *metafizyki*. A chociaż, jak jest nieuniknione w dziejach myśli ludzkiej, wiele z poglądów jego z kolei w proch się rozpadło, wszystkie zdobycze jego ducha stały się potężnym zaczynem dla dalszych pokoleń, żyjąc i rozwijając się dalej w takich umysłach jak Newton, Spinoza, Kant „i wielu innych”, jak piszą dzienniki w sprawozdaniach z arystokratycznych ślubów. Nie posądz mi zapewne czytelnik o tę pretensjonalność, abym, nie mając żadnej kompetencji ani tytułu po temu, silił się tu zabierać głos o wszystkich tych wysokich materiach. Ani mi to w głowie; wolę raczej, w prostocie ducha, powiedzieć z Villonem:

...chudziak ja ubogi,

*Nie mnie rozprawiać tak podniosło:*

*Niech o tem sądzą theologi,*

*To kaznodziei jest rzemiosło...*

i odesłać czytelnika do obfitych fachowych dzieł i podręczników. Jedna tylko uwaga. Póki czytałem samego Descartes'a, rozumiałem wszystko, przynajmniej takie miałem wrażenie; w miarę jak porzucałem go, aby czytać jego objaśniaczy, rozumiałem coraz mniej, aż w końcu zaczynałem nie rozumieć zgoła nic. Dlatego przychodzi mi na myśl, czy by nie było dobrze zastosować czasem w dziedzinie ducha tę maksymę, tak często figurującą w ogłoszeniach Kurierków: „Pośrednictwo osób trzecich wykluczone”. O, te osoby trzecie!

Bliżej, oczywiście, obchodzi nas tutaj stosunek Descartes'a do rozwoju literatury francuskiej. Jak określić wpływ, jaki wywarła jego myśl filozoficzna na czas, w którym działał, a również na późniejsze pokolenia? Pytanie to schodzi się z kwestią jedną z najtrudniejszych do ujęcia, mianowicie w jakim stopniu genialna jednostka tworzy swoją epokę, a w jakim stopniu jest jej wykwitem i wyrazem. Jedno jest niewątpliwe: to, iż Descartes, zwracając się, poprzez głowy urzędowych kapłanów wiedzy, wprost do każdego myślącego człowieka, ośmielił ogół publiczności do zajmowania się sprawami, stanowiącymi, aż dotąd, monopol scholastycznych bakałarzy, i stał się, na przeciąg dwóch wieków blisko, bodźcem tego niesłychanego przesiąkania filozoficznego i naukowego myślenia aż do najodleglejszych krańców literatury. Poza tym, stycznych punktów między Descartes'em a najbliższą mu epoką jest wiele. Ta sama dążność do uchwycenia w mieniającej fali zjawisk prostych i niezmiennych praw, które są zjawisk tych motorem i regulują ich mechanizm — dążność będąca cechą „rewolucji kartezjańskiej” — znamioną jest dla całej literatury XVII w., ściśle psychologicznej, w najwyższym stopniu abstrakcyjnej, wykluczającej, nawet z niebezpieczeństwem zubożenia i wyjałowienia rzeczywistości, wszystko, co się w niej zdaje przypadkowe i nieistotne. Maksymy moralne La Rochefoucauld są typowym przykładem tej *geometrycznej* psychologii. Tragedia klasyczna XVII w. jest również nie czym innym, jak życiem ujętym w analityczne wzory, jedne i niezmiennie na przestrzeni krajów i wieków; Fedra Racine'a, która jest córką Minosa i

kuzynką słońca, mogłaby być równie dobrze, bez żadnej istotnej zmiany w tekście, księżniczką krwi na dworze Ludwika XIV. Namiętności działają w tym teatrze niby proste, oczyszczone z wszelkich obcych domieszek siły, poruszające dane ciała po geometrycznych liniach.

Molier, za młodu po trosze uczeń Gassendiego, spadkobierca „filozofii natury” Montaigne'a, schodzi się z Kartezjuszem w otrząsaniu się z przeżytków autorytetu i proklamowaniu samoistnego zdrowego rozumu przeciw napuszonej rutynie i monopolowi bakalarstwa.

Im dalej posuwamy się w wiek XVII i XVIII, tym bardziej kartezjanizm przenika wszystkie umysły. Ks. Genest układa filozofię Descartes'a w wierszach, Fontenelle przyprawia, ze znacznym talentem, astronomię w rodzaj madrygału; literatura przybiera coraz bardziej naukowy i geometryczny charakter. Najlepsi pisarze oddają swoje pióra służbom nauk i ścigają wszędzie *mechanizm stałych praw*, na drodze wskazanej przez Rozprawę o metodzie: Montesquieu rzuca podwaliny nauk politycznych i socjologii; Wolter stara się ująć historię — dotąd, wraz z Bossuetem, tłumaczącą wszystko ciągłą i doraźną interwencją „palca bożego” — w stałe i niezmiennie prawa, te same, które panują w mechanice lub chemii.

Oto dytyramb na cześć kartezjanizmu, mimo iż nie wymienia nazwiska Descartes'a, zawarty w jednym z Listów perskich Monteskiusza.

...Są tutaj filozofowie, którzy, po prawdzie, nie dosięgli szczytu wschodniej mądrości; nie wzbili się aż do świetlistego tronu; nie słyszeli niewymownych słów, którymi rozbrzmiewają koncerty aniołów, nie odczuli straszliwych paroksyzmów boskiego szaleństwa. Zostawieni samym sobie, pozbawieni świętych cudów, postępują w milczeniu śladami ludzkiego rozumu.

Nie dałbyś wiary, zaiste, dokąd ich ten przewodnik zaprowadził. Rozwikłali chaos i, za pomocą prostej mechaniki, wytłumaczyli porządek boskiej architektury. Stwórca obdarzył materię ruchem; to wystarczyło, aby wytworzyć zdumiewającą różnorodność zjawisk, jaką widzimy we wszechświecie.

Podczas gdy pospolici prawodawcy ukazują nam prawa służące do kierowania społeczeństwami ludzi, prawa równie podległe zmianom, jak duch tych, którzy je stworzyli, i ludów, które je przestrzegają, tamci mówią tylko o prawach powszechnych, niewzruszonych, wiecznych, zachowywanych, bez najmniejszego wyjątku, z nieskończonym łaodem i chyżością, w bezmiarach przestrzeni.

I jakie, boski czytelniku, mniemasz, iż są te ich prawa? Wyobrażasz sobie może, iż wchodząc na radę Przedwiecznego, staniesz zdumiony wysokością tajemnic; wyrzekasz się z góry zrozumienia; pragniesz jedynie podziwiać.

Ale niebawem zmienisz pogląd. Nie olśniewają one bynajmniej fałszywym przepychem; prostota ich była przyczyną, iż tak długo zostały nieznane i dopiero po długich rozważaniach oceniono całą ich płodność i całą doniosłość.

Pierwsze, to iż każde ciało dąży do opisania linii prostej, o ile nie napotka jakiejś przeszkody, która je z niej sprowadzi. Drugie, które jest tylko następstwem pierwszego, to iż wszelkie ciało, które kręci się dokoła środkowego punktu, dąży do tego, aby się odeń oddalić, ponieważ, im dalej jest od niego, tym bardziej linia, jaką opisuje, zbliża się do linii prostej.

Oto, wspaniały derwiszu, klucz przyrody; oto płodne zasady, z których wyciąga się nieskończone konsekwencje.

Świadomość pięciu czy sześciu prawd uczyniła filozofię tych ludzi pełną cudowności i pozwoliła im dokonać tylu niemal dziwów i cudów, ile ich czytamy w żywotach naszych świętych proroków...

Czujecie tu, po stu latach blisko od ukazania się Rozprawy o Metodzie, ten sam rausz, to samo, spotęgowane jeszcze, pijaństwo mózgu ludzkiego nową dlań rozkoszą poznania? To jeszcze to samo, które pulsowało tak radośnie w ostatnich rozdziałach książeczki Descartes'a. Ta rozkosz i duma poznania, ta powszechna, gorączkowa ciekawość i głód wiedzy, zepchnie, na przeciąg kilku pokoleń, na drugi plan własne cele artystycznego tworzenia i każe mu się zaprzęgnąć do tryumfalnego rydwana „filozofii”. Wiek XVIII, tak bogaty fermentem myśli, staje się równocześnie

niezmiernie ubogi pod względem twórczości artystycznej. Później, po reakcji romantycznej, przychodzi czas, iż symbioza ta nauki z literaturą pęka: każda z nich idzie swoim torem i dąży do odrębnych celów; jednakże ten okres *kartezjanizmu* literatury francuskiej wyłłobi w niej trwałe i dobroczynne ślady. Odtąd, na zawsze pozostanie jej cechą, iż, pod najbardziej wiotkim i kapryśnym ornamentem czy „nastrojem”, kryje się myśl nieubłagana, matematycznie logiczna i jasna. Stąd — aby powrócić do punktu wyjścia tych uwag — kiedy przebiegamy okiem literaturę francuską, widzimy niby grzędy barwnych i wonnych kwiatów; aby ją jednak naprawdę rozumieć, trzeba sobie wciąż zdawać sprawę, jak, równoległe do tej uroczej manifestacji ducha francuskiego, postępuje druga jej forma, bez której ta nie byłaby możliwa; trzeba utrwalić w sobie świadomość, jak niesłychanie intensywnej i wytrwałej trzeba było uprawy duchowej, aby wyhodować ten powabny ogród.

Okres „kartezjański” w literaturze francuskiej rozstrzygnął również w znacznej mierze o kierunku, w jakim rozwinął się język. Po przebogatym kipieniu i przelewaniu się za brzegi języka Rabelais'ego, po szerokim gawędziarstwie Montaigne'a, następuje okres zwierania się w sobie sztuki wyrażania myśli. Dążność do matematycznej ścisłości w myśleniu, do algebraicznej abstrakcji, geometrycznej prostolinijności i symetrii, znajduje pełny wyraz w języku wieku klasycznego. I tu Maksymy Rochefoucauld, Charaktery La Bruyère'a, Dialogi umarłych Fontenelle'a (te ostatnie trącające już nieco znamieną oschłością) stanowią trwałe pomniki klasycznej doskonałości. Ale, nie tylko u poważnych myślicieli znajdziemy wyraźne znamiona tego *kartezjanizmu* językowego. Idźmy do najbardziej lekkich, i formą, i treścią, najbardziej płochych pisarzy! Marivaux: czujecie pod wdzięcznym madrygałem stalowe rusztowanie przelogicznych rozumowań? Crébillon-syn: niejedna rozprawa filozoficzna mogłaby pozazdrościć precyzji i subtelności w dystynkcjach tym rozmówkom toczącym się o najbardziej swawolnych tematach na miękkiej berżerze lub po prostu w łóżku. A Niebezpieczne Związki Laclos? Nawet obleganie kobiety odbywa się według  $a+b$ . Ma się wrażenie, iż, aby ją zdobyć, wystarczy udowodnić tylko, za pomocą najściślejszych matematycznych argumentów, że powinna się oddać — co okazuje się niewątpliwie prawdą, ale pod dwoma małymi warunkami: jeden, iż była na to z góry zdecydowana, a drugi, iż argumentujący przerzuci się, w stanowczym momencie, ze sfer czystej

logiki w dziedzinę fizyki eksperymentalnej. Zawsze więc pozostaje na terenie Kartezjusza.

Z biegiem czasu, ta „geometryczność” literatury doprowadziła do pewnego wynaturzenia myśli i języka. Nie ma bardziej nieuchwytniej i kapryśnej rzeczy jak kłębianie się i falowanie chmur na horyzoncie, mimo iż niewątpliwie odbywa się ono wedle najściślejszych i niezmiennych prawideł mechaniki. Toż samo i z mechanizmem duszy ludzkiej; chcąc wszystko w niej objaśnić za pomocą kilku elementów, dochodzi się łatwo do teatru marionetek; chcąc wszystko wyrazić rozumowaniem, zuboża się skalę możliwości języka, który niemniej potężne swoje walory posiada w dziedzinie czucia. Myśl jest tylko jednym z jego zasobów; posiada on cudowną własność zapożyczania od innych sztuk ich najcenniejszych sekretów; od malarstwa palety jego barw, od muzyki skali dźwięku: a wszystko po to, aby wyrazić tę samą myśl ludzką, nieraz o wiele potężniej niż drogą rozumowania. Toteż, literatura francuska otrząsnęła się, po części za sprawą Rousseau i Bernardina de Saint-Pierre, autora Pawła i Wirginii, po części dzięki obcym wpływom — w epoce romantyzmu, owej olbrzymiej międzynarodowej wymiany bogactw duchowych — z tego zacieśnienia i oschłości; ale bezcenne zdobycze osiągnięte w dziedzinie skryzalizowania języka pozostały jej trwałym skarbem i uczyniły go najsprawniejszym narzędziem wyrażenia — jak tego pragnie od języka Słowacki — „wszystkiego co *pomyśli* głowa”.

Co się tyczy języka samego Descartes'a, to daleki on jest jeszcze od klasycznej doskonałości. Prawda, iż, niejednokrotnie, samą potęgą myśli, wznosi się do wspaniałej siły i lotności wyrażenia; na ogół jednak zdanie Descartes'a, ciężkie, nawlekające bez końca wiodące się z siebie ogniwa, trąci jeszcze mocno wyniesioną z kolegium łaciną. W polskim przekładzie trzeba było prawie każde zdanie rozbijać na kilka części; tłumacz zachował jednak właściwy oryginałowi tok języka, nie chcąc odzierać dzieła z jego swoistego archaicznego charakteru. Wreszcie, trzeba mieć na uwadze i to, iż obawa konfliktu z wszechpotężną teologią kazała ówczesnym filozofom zawijać myśl swoją w bardzo nieraz wyszukane i sztuczne omówienia. Wspomniałem już, że Descartes zniszczył swój Traktat o świecie na wieść o skazaniu Galileusza; tutaj — nie mógł się oprzeć pokusie dania zeń w streszczeniu głównych myśli; ale znamionym jest, jak misternie



przeprowadza tę fikcję, iż mówi nie o naszym świecie, stworzonym, oczywiście, zgodnie z tradycją Pisma, ale o jakimś innym, możebnym, gdyby Bóg, etc. etc. To wszystko też nie zawsze przyczynia się do przejrzystości stylu.

Literatura polska czerpała w XVI wieku, wraz z innymi narodami, obficie ze źródeł humanizmu, i w tej epoce utrzymuje się poniekąd na poziomie Europy. Pomiędzy Rejem a Montaigne'm da się, ostatecznie, nakreślić analogię, mimo że w gruncie dosyć powierzchowną. Później, następuje w Polsce, na dwa wieki blisko, okres pewnego letargu. Ocknąwszy się z końcem XVIII w., okres stanisławowski stara się gorączkowo odzyskać stracone tempo; toteż nigdy czerpanie z bogactw duchowych Francji nie odbywało się bardziej żywo niż wtedy. Z romantyzmem tryska świeży źródł polskiej rodzimej twórczości, jednakże płynie on raczej ze źródeł uczucia i to przede wszystkim uczucia narodowego. Ta luka dwóch wieków, przez które Francja wypracowała — oprócz swego wspaniałego języka — cały kapitał ogólnoludzkiej myśli, oraz niezrównaną *technikę myślenia*, tak sprawną, iż przestało ono niemal być wysiłkiem, a stało się nałogiem i zabawą, ta luka zawsze podobno daje się uczuć w polskiej umysłowości; mimo pozornie równego — o tyle o ile — poziomu, nasze kulturalne szczyty, którymi radzi się chlubić, nazbyt często wznoszą się na piasku.

Symbioza duchowa Polski i Francji, ta której zawdzięczamy Krasickiego, z której zrodził się jeden z najbardziej rodzimych i oryginalnych naszych pisarzy, Fredro, jest, jak się zdaje, najzdrowszym i najzgodniejszym z naturalną tradycją pokryciem naszych zapotrzebowań duchowych. Czuje to instynkt narodu, i stale wzrok jego, jakby urzeczony lotnością i wdziękiem galijskiej myśli, obraca się w tę stronę; ale, z jednego pokolenia na drugie, zachodzą znaczne różnice w nasileniu i głębokości fali tego duchowego „frankofilizmu”. Generacja literacka, z którą ja stykałem się niegdyś, miała, pod tym względem, pojęcia dość ograniczone: u wielu ówczesnych „młodych”, kult piśmiennictwa francuskiego dałby się sprowadzić bez mała do Pijanego statku Artura Rimbaud, spopularyzowanego we wspaniałym przekładzie Miriama, i Litanii do Szatana Baudelaire'a. Pragnąłbym przyczynić się, o ile w mojej mocy, do tego, aby następne pokolenie widziało w nim coś więcej.

Na ostatek, jeszcze jedna refleksja. Warto przypomnieć sobie bieg myśli, jaki Descartes bierze za punkt wyjścia do swoich dociekań. Jednym z pierwszych, jak pisze, „było zastanowienie, że często, dzieła złożone z rozmaitych części i wykonane ręką rozmaitych mistrzów mniej są doskonałe, niż te, nad którymi pracował jeden człowiek”. Przypuśćmy; ale, w dalszym rozwinięciu tej myśli, Descartes bierze, nie najszcześliwiej, za przykład — architekturę! Pamiętajmy, że było to w tym wieku XVII, który stworzył jednostajny umiar Wersalu i jego strzyżonych ogrodów, cudami zaś gotyku gardził jako ostatecznym barbarzyństwem; sam zaś Descartes, jako matematyk, posiadał widocznie zamiłowanie do symetrii. Stąd rażą go „krzywe i nierówne” ulice owych starożytnych grodów, które, bywszy z początku jedynie warowniami, zmieniły się z kolei w wielkie miasta”, w porównaniu do „tych regularnych proporcji, które inżynier wytycza wedle swej fantazji na pustej równinie”... Jest to szczególnie zupełnie uboczny, niemniej jednak faktem godnym sprowadzić uśmiech na usta starego Montaigne'a, a zarazem stanowiącym może głęboki i ostrzegawczy symbol, jest ten zbieg okoliczności, iż punktem wyjścia genialnego procesu duchowego, który odrodził myśl całych pokoleń, była, powiedzmy po cichu, niedorzeczność...

Boy

Kraków, we wrześniu 1918 roku

## **ROZPRAWA O METODZIE. SZTUKA DOBREGO POWODOWANIA SWOIM ROZUMEM I SZUKANIA PRAWDY W NAUKACH**

Jeżeli ta rozprawa wyda się zbyt długa, aby ją przeczytać na jeden raz, można ją podzielić na sześć części: w pierwszej znajdują się rozmaite rozważania dotyczące nauk; w drugiej, główne reguły metody, jakie autor szukał; w trzeciej, niektóre zasady moralne, jakie wydobył z tej metody; w czwartej, racje, za pomocą których udowadnia istnienie Boga i duszy ludzkiej, co stanowi podwalinę jego metafizyki; w piątej, porządek zagadnień fizycznych, jakich poszukiwał, a w szczególności wytłumaczenie czynności serca i niektórych innych trudności należących do medycyny, następnie również różnicę, jaka istnieje pomiędzy naszą duszą a duszą zwierzęcia; w ostatniej wreszcie, jakie rzeczy uważa za potrzebne, aby posunąć się w badaniach przyrody dalej niż dotychczas, oraz jakie racje skłoniły go do pisania.

## Część pierwsza

Zdrowy rozum jest to rzecz ze wszystkich na świecie najlepiej podzielona, każdy bowiem sądzi, iż jest w nią tak dobrze zaopatrzony, iż nawet ci, których we wszystkim innym najtrudniej jest zadowolić, nie zwykli pragnąć go więcej, niżli posiadają. Nie jest prawdopodobne, aby się wszyscy mylili w tej mierze; raczej świadczy to, iż zdolność dobrego sądenia i rozróżniania prawdy od fałszu (a to, ściśle biorąc, nazywamy zdrowym rozsądkiem lub rozumem), jest z natury równa u ludzi. Tak więc, rozbieżność mniemań nie pochodzi stąd, aby jedni byli roztropniejsi od drugich, ale jedynie stąd, iż prowadzimy myśli nasze rozmaitymi drogami i nie rozważamy tych samych rzeczy. Nie dosyć bowiem mieć umysł bystry, ale główna rzecz jest dobrze go zażywać. Największe dusze zdolne są do największych występków zarówno jak do największych cnót; a ci, którzy idą jedynie bardzo wolno, jeśli idą wciąż prostą drogą, mogą posunąć się o wiele dalej, niż ci, którzy biegną, lecz oddalają się od niej.

Co do mnie, nie sądziłem nigdy, aby umysł mój był w czymkolwiek doskonalszy niż umysł pospolitych ludzi: często nawet pragnąłem mieć myśl równie szybką lub wyobraźnię równie jasną i dokładną, albo pamięć równie obszerną i przytomną, co niektórzy inni. A oto, zdaje mi się, jedyne właściwości, które stanowią o doskonałości umysłu: co się tyczy bowiem rozumu, czyli pojęcia (jednakże jest to jedyna rzecz, która nas czyni ludźmi i różni od zwierząt), przypuszczam, iż znajduje się całkowity w każdym, i idę w tym za powszechnym mniemaniem filozofów, którzy powiadają, że różnice między jednostkami tegoż samego gatunku tyczą jedynie właściwości przypadkowych, nie zaś istotnych.

Ale nie waham się powiedzieć, jako, moim zdaniem, miałem w tym wiele szczęścia, iż trafiłem, już od młodości, na pewne drogi, prowadzące mnie do rozważań i maksym, z których utworzyłem sobie — metodę. Zdaje mi się, iż przez tę metodę posiadałem sposób stopniowego pomnażania mojej wiedzy i wzniesienia jej pomału do najwyższego punktu, do którego mierność mego umysłu i krótkie trwanie życia pozwolą jej dosięgnąć.

Zebrałem już z niej takie owoce, iż — mimo że w sądzie jaki tworzę o sobie staram się zawsze przechylać raczej w stronę nieufności niż zarozumiałości, i że gdy patrzę okiem filozofa na rozmaite dzieła i przedsięwzięcia wszystkich ludzi, nie masz jakoby ani jednego, które by mi się nie zdawało czcze i bezużyteczne — mimo to, odczuwam nadzwyczajne zadowolenie z postępu, jaki, w swoim mniemaniu, już uczyniłem w poszukiwaniu prawdy, i czerpię nie mniejsze nadzieje na przyszłość. Owszem, jeśli między zatrudnieniami ludzi będących jedynie ludźmi znajduje się jakieś, które by było trwale dobre i ważne, śmiem mniemać, iż jest nim to, które ja obrałem.

Mimo to może być, iż się mylę; może to wszystko, to tylko trochę miedzi i szkła, które ja biorę za złoto i diamenty. Wiem, jak bardzo jesteśmy podlegli omyłkom w tym, co nas dotyczy, i jak bardzo powinny być nam podejrzane sądy przyjaciół wówczas, kiedy padają na naszą korzyść. Ale będę bardzo rad ukazać w tej rozprawie, jakie są drogi, którymi szedłem, i przedstawić życie moje niby obraz, żeby każdy mógł o nim sądzić, i abym, słysząc powszechne głosy mniemań jakie się podniosą w tym przedmiocie, zyskał nowy sposób pouczenia się i dołączył go do tych, którymi zwyczajnie się posługiwałem.

Tak więc, zamiarem moim nie jest nauczać tu metody, której każdy winien się trzymać, aby dobrze powodować swoim rozumem, ale jedynie pokazać, w jaki sposób ja starałem się powodować moim. Ci, którzy bawią się w dawanie przepisów, muszą uważać się za bieglejszych od tych, którym je dają; jeśli chybią w najmniejszej rzeczy, zasługują na naganę. Ale skoro przedstawię to pismo jedynie jako historię lub, jeśli wolicie, jako opowieść, w której, pośród kilku przykładów, które można naśladować, znajdzie się też może i wiele innych, za którymi słuszne będzie nie podążać, mam nadzieję, iż będzie ono pożyteczne niektórym, nie będąc szkodliwe nikomu, i że wszyscy poczytają mi za dobre mą szczerość.

Zaprawiano mnie do nauk od samego dzieciństwa; ponieważ zaś zapewniano mnie, że za ich pomocą można nabyć jasną i pewną wiedzę wszystkiego, co jest użyteczne dla życia, żywiłem niezmiernie pragnienie przyswojenia ich sobie. Ale, zaledwie wyczerpałem cały ten zakres studiów, po upływie którego jest się zazwyczaj przyjętym do towarzystwa uczonych,

zmieniłem zupełnie mniemanie: czułem się bowiem udęczony tyloma wątpliwościami i błędami, iż zdawało mi się, że starając się pouczyć, nie osiągnąłem żadnej korzyści, chyba tę, iż tym jawniej odsłoniłem sobie moją niewiedzę. A przecież byłem w jednej z najświetniejszych szkół w Europie, gdzie, sądziłem, powinni znaleźć się uczeni ludzie, jeśli w ogóle istnieją w jakimś miejscu na ziemi. Nauczyłem się wszystkiego, czego inni się tam uczyli; a nawet, nie zadowolając się naukami, jakie nam podawano, przebiegłem wszystkie księgi, które mi wpadły w ręce, a traktowały o przedmiotach uznanych za najbardziej osobliwe i rzadkie. Znałem przy tym sąd, jaki inni mieli o mnie; nie widziałem, aby mnie uważano za niższego od współuczniów, mimo iż było już między nimi kilku, których przeznaczano, aby zajęli miejsce naszych mistrzów. Wreszcie, wiek nasz zdawał mi się równie kwitnący i bogaty w bystre umysły, co którykolwiek z poprzedzających. To wszystko dawało mi swobodę sądenia wedle siebie o wszystkich innych i zrodziło przeświadczenie, iż nie ma na świecie nauki, która by była taka, jak mi się wcześniej pozwolono spodziewać.

Pomimo to, nie przestałem szanować ćwiczeń, którymi zatrudniają nas w szkołach. Wiedziałem, że języki jakich tam uczą, potrzebne są dla zrozumienia ksiąg starożytnych; że powab bajek rozbudza umysł; że godne pamięci uczynki z historii podnoszą go i że, czytane z rozeznaniem, pomagają do ukształtowania sądu; że czytanie wszelkich dobrych ksiązek jest niby rozmowa z najgodniejszymi ludźmi minionych wieków, będących ich autorami, ba, nawet rozmowa wybredna, w której odsłaniają nam jedynie swe najlepsze myśli; że wymowa posiada nieporównaną siłę i piękności; że poezja ma wykwinty i słodczye bardzo czarujące; że nauki matematyczne zawierają wymysły bardzo subtelne i zdolne znacznie posłużyć tak dla zadowolenia ciekawych, jak dla ułatwienia wszystkich rzemiosł i zmniejszenia pracy człowieka; że pisma traktujące o obyczajach mieszczą nauki i zachęty do cnoty nader użyteczne; że teologia uczy, jak zdobywać niebo; że filozofia daje sposób rozprawiania z prawdopodobieństwem o wszystkich rzeczach i budzenia podziwu mniej uczonych; że prawo, medycyna i inne nauki przynoszą zaszczyty i bogactwa tym, którzy je uprawiają; że wreszcie dobrze jest zbadać je wszystkie, nawet najbardziej zabobonne i fałszywe, aby poznać ich prawdziwą wartość i nie dać się im omamić.

Ale sądziłem, że już dosyć czasu poświęciłem językom, a nawet także czytaniu ksiąg starożytnych, ich historii i bajek. Rozmawiać bowiem z ludźmi innych wieków jest to poniekąd to samo, co podróżować. Dobrze jest wiedzieć coś o obyczajach rozmaitych ludów, aby bardziej zdrowo sądzić o naszych i abyśmy nie myśleli, że wszystko, co jest przeciw naszym modłom, jest śmieszne i przeciw rozumowi, jak to mają zwyczaj mniemać ci, którzy nic nie widzieli. Ale kiedy się poświęca zbyt wiele czasu na podróżowanie, człowiek staje się wreszcie obcym w swoim kraju; kiedy się jest zanadto ciekawym rzeczy, które się działy w minionych wiekach, jest się zazwyczaj bardzo nieświadomym tych, które się dzieją współcześnie z nami. Prócz tego, bajki przedstawiają jako możliwe wiele wydarzeń w istocie niemożliwych; a nawet najbardziej wierna historia, jeżeli nie zmienia i nie pomnaża wartości rzeczy, aby je uczynić godniejszymi czytania, opuszcza przynajmniej zawsze okoliczności najbardziej pospolite i najmniej świątne, z czego pochodzi, iż reszta nie wydaje się taką, jaką jest, i że ci, którzy kierują swoje obyczaje wedle przykładów stąd czerpanych, łatwo skłonni są popaść w szaleństwa paladynów z romansów i imać się zamiarów, które przechodzą ich siły.

Ceniłem wielce wymowę i byłem rozkochany w poezji; ale sądziłem, iż jedno i drugie są to raczej dary umysłu, niż owoce studiów. Ci którzy silniejsi są w rozumowaniu i lepiej trawią myśli, aby je oddać jasno i zrozumiale, mogą zawsze lepiej przekonać o swoich poglądach, chociażby mówili jedynie chłopską gwarą i nigdy nie uczyli się retoryki; ci zaś, którzy mają pomysły bardziej powabne i umieją je wyrazić z największym wdziękiem i okrasą, byłiby zawsze największymi poetami, choćby sztuka poetycka była im zupełnie nieznaną.

Upodobałem sobie zwłaszcza nauki matematyczne, a to dla pewności i oczywistości ich racji; ale nie ogarniałem jeszcze prawdziwego ich użytku; a sądząc, iż służą jedynie dla sztuk mechanicznych, dziwiłem się, iż, skoro ich podwaliny są tak mocne i stałe, nie zbudowano na nich czegoś wznioślejszego. Przeciwnie znowuż, pisma starożytnych pogan traktujące o obyczajach porównywałem do pałaców bardzo pysznych i wspaniałych, ale zbudowanych tylko na piasku i błocie: wynoszą bardzo wysoko cnoty i ukazują je jako godne czci ponad wszystko na świecie; ale nie dosyć uczą je

poznać i często to, co nazywają tak pięknym imieniem, jest jedynie bezczułością lub pychą, lub rozpaczą, lub ojcobójstwem.

Miałem cześć dla teologii i pragnąłem, nie gorzej od innych, pozyskać sobie niebo; ale dowiedziawszy się, jako rzecz bardzo pewną, że droga doń jednak jest otwarta dla najbardziej nienauczonych, co dla najuczeńszych, i że prawdy objawione, które tam prowadzą, stoją powyżej naszego pojęcia, nie odważyłbym się poddać ich memu wątlému rozumowaniu, i myślałem, że aby podjąć takie badanie z pomyślnym skutkiem, trzeba by mieć jakowąś nadzwyczajną pomoc nieba i być więcej niż człowiekiem.

Nie powiem nic o filozofii, chyba to, iż widząc, jako uprawiały ją najwyborniejsze duchy żyjące od wielu wieków, i że, pomimo to, nie znajduje się w niej jeszcze żadnej rzeczy, o którą by się nie spierano, która by więc, tym samym, nie była wątpliwa, nie byłam na tyle zarozumiała, aby spodziewać się lepiej w tym utrafić aniżeli inni. Rozważając, ile może być rozmaitych mniemań, tyczących tego samego przedmiotu, mniemań podtrzymywanych przez ludzi uczonych, podczas gdy, w istocie, nie może być nigdy więcej niż jedno, które by było prawdziwe, osądziłem niemal jako fałszywe wszystko, co było tylko prawdopodobne.

Co do innych nauk (ponieważ czerpią zasady swoje w filozofii), sądziłem, że nie można było zbudować nic trwałego na podstawach tak niepewnych. Ani honory, ani zyski, jakie obiecują, nie były wystarczającym bodźcem, aby mnie skłonić do ich studiowania. Nie byłam, Bogu dzięki, w położeniu, które by mnie zniewalało czynić rzemiosło z nauki dla poprawy mego losu; mimo zaś iż nie popisuję się, na sposób cyników, pogardą dla sławy, bardzo mało nęciła mnie ta, którą mogłem nabyć jedynie za pomocą fałszywych tytułów. Wreszcie, co się tyczy nauk nieczystych, sądziłem, iż dostatecznie wiem, ile są warte, aby się nie dać zmamić ani obietnicom alchemisty, ani przepowiedniom astrologa, ani szalbierstwom magika, ani sztuczkom lub przechwałkom żadnego z ludzi czyniących rzemiosło z tego, aby wiedzieć więcej niż wiedzą.

Dlatego, też, skoro tylko wiek pozwolił mi wyjść spod władzy nauczycieli, porzuciłem zupełnie zgłębianie nauk. Zgodziwszy się nie szukać już innej wiedzy prócz tej, jaką mógłbym znaleźć w samym sobie lub też w wielkiej księdze świata, obróciłem resztę młodości na



podróżowanie, oglądanie dworów i wojsk, szukanie towarzystwa ludzi rozmaitych usposobień i stanów, gromadzenie rozmaitych doświadczeń, próbowanie samego siebie w przygodach, jakie mi los nadarzy, wszędzie zaś na zastanawianie się nad następczącymi się rzeczami w taki sposób, abym mógł wyciągnąć z nich jakąś korzyść. Zdawało mi się bowiem, iż może znajdę o wiele więcej prawdy w rozumowaniach, jakie każdy czyni odnośnie do spraw, które mu są bliskie i których obrót musi go ukarać niebawem, jeśli je źle osądził, niż w sądach, jakie czyni uczone w swojej pracowni, odnośnie do spekulacji nie wydających żadnego skutku i które nie mają dlań innych następstw, prócz może tego, iż wydobędzie z nich o tyleż więcej chluby, im bardziej będą oddalone od pospolitego rozsądku, a to dlatego, że musiał zużyć więcej dowcipu i sztuki, aby im nadać prawdopodobieństwo. Wreszcie, posiadałem zawsze bardzo silne pragnienie, aby się nauczyć rozróżniać prawdę od fałszu, aby widzieć jasno w moich czynach i stąpać pewnym krokiem przez życie.

Prawda, iż podczas gdy tak przyglądałem się obyczajom innych ludzi, nie znajdowałem nic, na czym mógłbym się oprzeć i zauważyłem w nich niemal tę samą rozbieżność, co wprzódy w mniemaniach filozofów. Ostatecznie, największą korzyścią, jaką z nich wyniosłem, było to, iż widząc wiele rzeczy, które, jakkolwiek zdają się nam bardzo śmieszne i niedorzeczne, zażywają, mimo to, powszechnego wzięcia i uważania u innych wielkich narodów, uczyłem się stąd, aby nie wierzyć nazbyt pewnie w nic o czym przekonywał mnie jedynie przykład i obyczaj. W ten sposób, oswabadzałem się pomału z wielu błędów, które mogą zaciemniać nasze naturalne światło i czynić nas mniej zdatnymi do pojmowania. Ale, skoro obróciłem kilka lat na studiowanie w ten sposób w księdze świata i zdobywanie niejakiego doświadczenia, postanowiłem pewnego dnia zagłębić się również w samego siebie, i użyć wszelkich sił mojego ducha dla wyszukania dróg, jakimi iść mi należało. Powiodło mi się to, jak sądzę, o wiele lepiej, niż gdybym się nie był nigdy oddalił od mego kraju ani od książki.